

Wiatr opowiada o Waldemarze Daa i jego córkach

Przeleci wiatr nad trawą, a po niej przebiegnie fala jak po wodzie; przeleci nad niwą, a ona wzburzy się jak morze. Tak tańczy wiatr. A posłuchaj jego opowieści! On je śpiewa, a głos jego brzmi rozmaicie: w lesie – tak, w oknach dachowych, szczelinach i pęknięciach murów – inaczej. Widzisz, jak pędzi po niebie obłoki, niczym stada owiec?

Słyszysz, jak wyje w otwartych bramach, niby strażnik trąbiący w róg? A jak dziwnie huczy w kominie, wpadając do kominka! Płomień bucha i rozpryskuje się iskrami, oświetlając dalekie kąty pokoju, i siedzieć tu, słuchając go, jest ciepło i spokojnie. Niech tylko on jeden opowiada! Bajek i historii zna więcej niż my wszyscy razem wzięci. Słuchaj więc, zaczyna opowieść!

„U-u-uu! Leć dalej!” – to jego refren.

– Na brzegu Wielkiego Bełtu stoi stary zamek o grubych czerwonych murach – zaczął wiatr. – Znam tam każdy kamień, widziałem je wszystkie, jeszcze gdy tkwiły w murach zamku Marka Stiga. Zamek rozebrano, a kamienie znów poszły w дело; z nich wzniesiono nowe mury, nowy zamek, w innym miejscu – w dworze Borreby, gdzie stoi po dziś dzień.

Znałem i szlachetnych panów, i pani tego zamku; wiele ich pokoleń przewinęło się na моих oczach. Teraz opowiem o Waldemarze Do i jego córkach!

Wysoko nosił głowę – płynęła w nim krew królewska. I umiał nie tylko szcuć jelenie oraz opróżniać puchary, lecz także coś lepszego, a co dokładnie – „żyjąc, zobaczmy”, mawiał.

Małżonka jego, odziana w parcianą suknię, dumnie stąpała po lśniącym mozaikowym posadzce. Wspaniałe były obicia ścian, drogo płacono za wyszukaną rzeźbioną meblę. Wiele złotych i srebrnych naczyń wniosła pani w posagu. W piwnicach przechowywano niemieckie piwo – dopóki w ogóle cokolwiek tam przechowywano. W stajniach rżały wypielegnowane gniade konie. Bogato żyto w zamku Borreby – dopóki bogactwo jeszcze się utrzymywało.

Mieli państwo i dzieci, trzy delikatne dziewczyny: Ida, Johanna i Anna Dorota. Jeszcze pamiętam ich imiona.

Byli to ludzie zamożni, znakomici, urodzeni i wychowani w przepychu. U-u-uu! Leć dalej! – zaśpiewał wiatr i kontynuował swoją opowieść: – Tu nie zdarzyło mi się widzieć, jak w innych dawnych zamkach, by szlachetna pani wraz ze swymi pannami siedziała w sali reprezentacyjnej przy kołowrotku. Nie, ona grała na dźwięcznej lutni i śpiewała, i to nie tylko stare duńskie pieśni, lecz także obce, w innych językach. Tu odbywały się wizyty i biesiady, goście przybywali z daleka i z bliska, grzmiała muzyka, dzwoniły kielichy, i nawet mnie nie starczyło sił, by je zagłuszyć! Tu z blaskiem i trzaskiem hulała pycha, tu byli panowie, lecz nie było radości.

Nastał majowy wieczór – ciągnął wiatr – siedłem od zachodu. Widziałem, jak rozbijały się o jutlandzki brzeg okręty, przemknąłem nad wrzosowiskiem i zielonym, zalesion wybrzeżem, zdyszany i sapiąc, przeszmiałem nad wyspą Fionią i Wielkim Bełtem, by ułożyć się dopiero u brzegów Zelandii, blisko Borreby, w wspaniałym dębowym lesie – który wówczas jeszcze istniał.

Po lesie chodzili chłopcy z okolicznych wiosek i zbierali chrust oraz gałęzie, największe i najsuchsze. Wracali z nimi do osady, układali w stosy, podpalali i z pieśniami zaczęli tańczyć wokół. Dziewczęta nie odstawały od chłopców.

Leżałem cicho – opowiadał wiatr – i jedynie cicho dmuchałem na gałązkę położoną przez najprzystojniejszego chłopca. Zapłonęła, zapłonęła jaśniej niż wszystkie inne, i chłopca nazwano królem święta, a on wybrał sobie spośród dziewcząt królową. Co to było za wesele i radość – większe niż w bogatym pańskim zamku Borreby.

Tymczasem do zamku podjechała zaprzężona w sześć koni pozłacana kareta. W niej siedziała pani i jej trzy córki, trzy delikatne, młode, cudne kwiaty: róża, lilia i białe hiacynty. Sama matka była jak bujny tulipan i nie odpowiadała ani na jeden dyg, ani na ukłon, którymi witali ją chłopcy, wstrzymując zabawę. Tulipan zdawał się bać złamać swój kruchy łodygę.

„A wy, różo, lilio i białe hiacynty – tak, widziałem was wszystkie trzy – czyimi królowymi będziecie? – myślałem. – Waszym królem będzie dumny rycerz, a może nawet książę!” U-u-uu! Leć dalej! Leć dalej!

Oto kareta odjechała, a chłopcy znów puścili się w taniec. Pani odbywała letni objazd swoich posiadłości – Borreby, Tjereby, wszystkich okolicznych wiosek.

A nocą, gdy się uniosłem – ciągnął wiatr – szlachetna pani legła, by już nie powstać. Stało się z nią to, co zdarza się wszystkim ludziom, nic nowego. Waldemar Do stał kilka minut poważny i zamyślony. Dumne drzewo ugina się, lecz nie łamie, myślał. Córki płakały, służba również ocierała oczy chustkami. Pani Do pośpiesznie odeszła z tego świata, poleciałem dalej i ja! U-u-uu! – rzekł wiatr.

Wróciłem назад – często wracam – przelatując nad wyspą Fionią i Wielkim Bełtem, i ułożyłem się na morskim brzegu w Borreby, blisko wspaniałego dębowego lasu. W nim były gniazda bieliki, grzywacze, niebieskie wrony, a nawet czarne bociany. Była wczesna wiosna. Jedne ptaki jeszcze siedziały na jajach, inne już wykluły pisklęta. Ach, jak latały, jak krzyczały ptasie stada! W lesie rozlegały się uderzenia toporów, dęby skazane były na ścięcie. Waldemar Do zamierzał zbudować kosztowny okręt – wojenny, trzydeckowy, którego obiecał kupić król. Oto dlaczego walono las – znak żeglarzy, schronienie ptaków. Krążyły spłoszone srokoposy – ich gniazda zostały zniszczone. Bieliki i inne leśne ptaki traciły swe siedziby. Jak szalone krążyły w powietrzu, krzycząc ze strachu i złości. Rozumiałem je. A wrony i kawki krzyczały głośno i szyderczo: „Krah! Precz z gniazda! Krah! Krah!”

Śród lasu, przy drużynie drwali, stali Waldemar Do i jego trzy córki. Wszystkie śmiały się z dzikich krzyków ptaków, wszystkie oprócz najmłodszej, Anny Doroty. Jej było żal ptaków, i gdy nadeszła kolej na półzaschły dąb, na nagich gałęziach którego ulokowało się gniazdo czarnego bociana z już wykutymi pisklętami, poprosiła, by nie ścinać drzewa, prosiła ze łzami w oczach, i dąb ocalono dla czarnego bociana – czy warto było rozmawiać z powodu jednego drzewa!

Nastąpiło potem piłowanie i rąbanie – budowano trzydeckowy okręt. Sam budowniczy był nieznanego rodu, lecz człowiek szlachetnej duszy. Oczy i czoło zdradzały w nim rozum, i Waldemar Do chętnie słuchał jego opowieści. Zasluchiwała się w nie też młodziutka Ida, najstarsza córka, która miała piętnaście lat. Budowniczy zaś, wznosząc okręt dla Waldemara Do, budował zamek na lodzie i dla siebie, w którym on i Ida siedzieliby obok siebie jak mąż i żona. Tak by się też stało, gdyby jego zamek miał murowane ściany, wały i rowy, las i ogród. Lecz gdzież wróblowi wkraczać w taniec żurawi! Choć młody budowniczy był rozumny, jednakże był biedakiem. U-u-uu! Umknąłem, umknął i on – nie śmiał już tam pozostać, a Ida pogodziła się ze swoim losem, cóż innego mogła zrobić?...

W stajniach rżały gniade konie, warto było na nie popatrzeć, i patrzono na nie. Admirał, wysłany przez samego króla celem obejrzenia i zakupu nowego okrętu wojennego, głośno zachwycił się dziarskimi końmi. Wszystko dobrze słyszałem, bo wszedłem za panami przez otwarte drzwi i sypałem im pod nogi złotą słomę – opowiadał wiatr. – Waldemar Do chciał otrzymać złoto, a admirał – gniade konie, dlatego właśnie je chwalił. Lecz nie zrozumiano go, i sprawa nie doszła do skutku. Okręt stał tam, gdzie stał, nadal na brzegu, przykryty deskami – arka Noego, której nie dane było wyruszyć w drogę. U-u-uu! Leć dalej! Leć dalej! Żal było na to patrzeć!

Zimą, gdy ziemia leżała pod śniegiem, pływające kry zablokowały cały Bełt, a ja napędzałem je na brzeg – mówił wiatr. – Zimą przylatywały stada kruków i wron,

jedne czarniejsze od drugich. Ptaki siadały na porzucony, martwy, samotny okręt, stojący na brzegu, i chrapliwie krzyczały o zgubionym lesie, o zniszczonych drogich im gniazdach, o bezdomnych starych ptakach i bezdomnych młodych, i to wszystko ради tego wspaniałego złomu – dumnego okrętu, któremu nie dane było wyjść na morze.

Skręciłem śnieżny wir, a śnieg kładł się wokół okrętu i przykrywał go niczym rozchukane fale. Dałem mu usłyszeć mój głos i muzykę burzy. Moje sumienie jest czyste: zrobiłem swoje, zapoznałem go ze wszystkim, co powinien wiedzieć okręt. U-u-uu! Leć dalej!

Minęła i zima. Zima i lato mijają, jak przelatuję ja, jak przelatuje śnieg, jak opadają Kwiat jabłoni opada i liście spadają. Leć dalej! Leć dalej! Leć dalej! Tak samo jest z ludźmi...

Lecz córki były jeszcze młode. Ida nadal kwitła jak róża, tak samo jak w owym czasie, gdy podziwiał ją budowniczy okrętów. Często bawiłem się jej rozpuszczonymi jasnymi włosami, kiedy stała zamyślona pod jabłonią w ogrodzie, nie zauważając, jak obsypuję ją kwiatami. Patrzyła na czerwone słońce i złote niebo prześwitujące między ciemnymi drzewami i krzewami.

Jej siostra, Johanna, była jak smukła, lśniąca lilija; była dumna i wyniosła, miała taką samą cienką talię jak jej matka. Lubiała wchodzić do wielkiej sali, gdzie wisiały portrety przodków. Szlachetne damy przedstawione były w aksamitnych i jedwabnych sukniach oraz w czepcach tkanych perłami, zakrywających włosy splecione w warkocze. Jakie były piękne! Ich mężowie odziani byli w stalowe zbroje lub drogie płaszcze podbite futrem wiewiórczym z wysokimi, stojącymi błękitnymi kołnierzami. Mieczы nie nosili przy plecach, lecz u biodra. Gdzieś z czasem zawisnie portret Johanny, jak będzie wyglądał jej szlachetny małżonek? Oto o czym myślała, oto co bezgłośnie szeptały jej usta. Podśluchałem to, gdy wpadłem do sali długim korytarzem i, zawróciwszy, pomknąłem z powrotem.

Anna Dorteja, jeszcze czternastoletnia dziewczynka, była cicha i zamyślona. Jej duże, niebieskie jak morze oczy patrzyły poważnie i smutno, lecz na ustach igrało dziecięce uśmiechnięcie. Nie mogłem go zdmuchnąć, zresztą nie chciałem.

Często spotykałem Annę Dorteję w ogrodzie, na drodze i na polu. Zbierała kwiaty i zioła, które mogły się przydać jej ojcu: przygotowywał z nich napoje i krople. Waldemar Do był nie tylko wyniosły i dumny, ale także uczony. Wiele wiedział. Wszyscy to widzieli, wszyscy o tym szeptali. Ogień płonął w jego kominku nawet latem, a drzwi były zamknięte na klucz. Spędzał dni i noce w zamknięciu, lecz nie

lubił rozpowiadać o swojej pracy. Siły natury należy badać w ciszy. Wkrótce, wkrótce znajdzie to, co najlepsze, najcenniejsze – czerwone złoto.

Oto dlaczego z komina walił dym, oto dlaczego trzeszczał i buchał w nim płomień. Tak, tak, nie obyło się tu beze mnie – opowiadał wiatr. «Będzie, będzie! – huczałem w kominie. – Wszystko rozwieje się dymem, sadzą, popiołem, prochem. Spłoniesz! U-u-uuu! Leć dalej! Leć dalej!» Waldemar Do stał na swoim.

Gdzie же podziały się wspaniałe konie ze stajni? Gdzie podziała się stara złota i srebrna zastawa z szaf? Gdzie podziały się krowy z pól, cały dobytek i majątek? Tak, wszystko to można stopić! Stopić w złotym tyglu, lecz złota nie otrzymać.

Pusto zrobiło się w spiżarniach, w piwnicach i na strychach. Ubyłe ludzi, przybyło myszy. Szyba w oknie pęknie tu, trzaśnie tam, i już nie muszę koniecznie wchodzić przez drzwi – opowiadał wiatr. – Gdzie dymi komin, tam przygotowuje się jedzenie, a tu dymił taki komin, że pożerał całe jedzenie ради czerwonego złota.

Huczałem przy bramie fortecznej, jak gdyby strażnik trąbił w róg, lecz nie było tu już strażnika – opowiadał wiatr. – Kręciłem wieżowym chorągiewką, a ona skrzypiała, jak gdyby strażnik chrapał na wieży, lecz nie było tam strażnika – były tylko szczury i myszy. Nędza nakrywała do stołu, nędza zagnieździła się w szafach z ubraniami i kredensach, drzwi spadały z zawiasów, wszędzie pojawiły się pęknięcia i szpary, swobodnie wchodziłem i wychodziłem – opowiadał wiatr – dlatego właśnie wiem, jak wszystko było.

Od dymu i popiołu, od trosk i bezsennych nocy posiwiała broda i skronie pana Borrebü, pożółkła i poorana zmarszczkami twarz, lecz oczy nadal błyszcząły w oczekiwaniu złota, upragnionego złota.

Dmuchałem mu dymem i popiołem w twarz i brodę. Zamiast złota pojawiły się długie. Świstałem w wybitych oknach i szparach, dmuchałem do kufrów córek, gdzie leżały ich wyblakłe, znoszone suknie – trzeba je było nosić bez końca, bez zmiany. Tak, nie taką pieśń śpiewano dziewczętom nad kolebką! Pańskie życie stało się życiem nędznym. Tylko ja jeden śpiewałem tam pełnym głosem! – opowiadał wiatr. – Zasypałem cały zamek śniegiem – mówią, że pod śniegiem jest ciepłej. Nie było skąd wziąć drewna, bo las wycięto. A mróz aż trzeszczał. Wędrowałem po całym zamku, wpadałem przez okna dachowe i przejścia, igrałem nad dachem i murami. Wysoko urodzone córki pochowały się przed zimnem w łóżkach, ojciec schował się pod futrzaną pierzyną. Ani jedzenia, ani drewna – oto pańskie życie! U-u-uuu! Leć dalej! Będzie, będzie! Lecz panu Do było tego mało.

«Po zimie nadejdzie wiosna – mówił. – Po niedostatku nadejdzie dostatek. Trzeba tylko trochę poczekać, poczekać. Majątek zastawiony, teraz właśnie czas, by pojawiło się złoto, i pojawi się ono na święta».

Słyszałem, jak szeptał do pająka: «Ty, pilny mały tkaczu, uczysz mnie wytrwałości. Gdy twoja tkanina zostanie rozerwana, zacznasz od nowa i doprowadzasz dzieło do końca. Znów ją rozerwą – ty znów, nie tracąc ducha, zabierasz się do pracy. Od początku, od początku! Tak należy! I w końcu zostaniesz nagrodzony».

Lecz oto nadszedł pierwszy dzień Wielkanocy. Zadzwonily dzwony, zabłysło na niebie słońce. Waldemar Do gorączkowo pracował całą noc, gotował, chłodził, mieszał, sublimował. Słyszałem, jak wzdychał z rozpaczy, słyszałem, jak się modlił, słyszałem, jak wstrzymywał oddech. Jego lampa zgasła – on tego nie zauważył. Rozdmuchiwałem węgle, rzucały czerwony blask na jego bladą jak kreda twarz z głęboko zapadniętymi oczami. I nagle oczy jego zaczęły się coraz bardziej rozszerzać i już, zdawało się, gotowe były wyskoczyć z orbit.

Spójrzcie do naczynia alchemika! Tam coś migocze. Płonie jak żar, czyste i ciężkie... Podnosi naczynie drżącą ręką, z drżeniem w głosie woła: «Złoto! Złoto!» Zakręciło mu się w głowie, mógłbym go powalić jednym podmuchem – opowiadał wiatr – lecz jedynie dmuchnąłem na węgle i podążyłem za nim do pokoju, gdzie marzyły jego córki. Jego kaftan, broda, rozczochrane włosy były obsypane popiołem. Wyprostował się i wysoko uniósł skarb zamknięty w kruchym naczyniu. «Znalazłem! Otrzymałem! Złoto!» – krzyknął i protiągnął im naczynie, iskrzące się w słońcu, lecz wtedy ręka mu drgnęła i naczynie upadło na podłogę, rozpryskując się na tysiąc odłamków. Ostatnia mydlana bańka nadziei pękła... U-u-uuu! Leć dalej! I uniosłem się z zamku alchemika.

Późną jesienią, gdy dni stają się krótsze, a mgła przychodzi ze swoją mokrą szmatą i wyciska krople na jagody i gołe gałęzie, wróciłem świeży i rześki, przewietrzyłem i odwiał niebo od chmur i przy okazji połamałem zgniłe gałęzie – praca nie wielka, lecz ktoś musi ją przecież wykonywać. W zamku Borrebü również było czysto, jak wymiecione, tylko inaczej. Wróg Waldemara Do, Owe Ramel z Basnes, przybył z zastawem na majątek: teraz zamek i cały dobytek należały do niego. Łomotałem w wybitych oknach, trzaskał zniszczonymi drzwiami, świstałem w szparach i dziurach: «U-u-uuu! Niech panu Owe nie zachce się tu pozostać!» Ida i Anna Dorteja zalewały się gorzkimi łzami; Johanna stała dumnie wyprostowana, blada, do krwi przygryzając palec. Lecz co z tego! Owe Ramel pozwolił panu Do mieszkać w zamku aż do śmierci, lecz nawet za to mu nie podziękowano. Wszystko słyszałem, widziałem, jak bezdomny szlachcic dumnie uniósł głowę i wyprostował się. Wtedy z taką siłą smagnąłem zamek i stare lipy, że złamałem grubą i wcale nie

zgniłą gałąź. Upadła przy bramie i pozostała leżeć jak miotła, na wypadek, gdyby trzeba było coś wymieść. I wymieciono – poprzednich właścicieli.

Ciężki wydał się dzień, gorzka godzina, lecz oni byli nastawieni stanowczo i nie gięli karku. Nic im nie zostało oprócz tego, co mieli na sobie, oraz nowo kupionego naczynia, do którego zebrali z podłogi resztki skarbu, tak wiele obiecującego, lecz niczego nie dającego. Waldemar Do schował je na piersi, wziął do ręki kij i oto niegdyś bogaty właściciel zamku wyszedł ze swoimi trzema córkami z Borrebü. Chłodziłem swoim podmuchem jego rozgrzane policzki, gładziłem brodę i długie siwe włosy i śpiewałem, jak umiałem: «U-u-uuu! Leć dalej! Leć dalej!»

Ida i Anna Dorteja szły obok ojca; Johanna, wychodząc przez bramę, obejrzała się. Po co? Przecież szczęście się nie obróci. Popatrzyła na czerwone mury wzniesione z kamieni zamku Marka Stiga i przypomniała sobie o jego córkach. I starsza, młodszą biorąc za rękę, Puściła się wraz z nią wędrować po świecie.

Czy Johanna przypomniała sobie tę pieśń? Tu wygnaniczek było trzy, a czwarty – ojciec. I powlokli się drogą,

tą drogą, którą niegdyś jeździli kareta, powlokli się w pole Smidstrup, do nędznej lepianki, wynajętej przez nich za dziesięć marek rocznie – nowej dworskiej posiadłości: puste ściany, puste naczynia. Wrony i kawki latały nad nimi i drwiąco krzyczały: „Krah! Krah! Upadek! Krah!” – tak jak krzyczały ptaki w lesie Borrebü, gdy drzewa padały pod uderzeniami toporów.

Pan Do i jego córki doskonale rozumiały te okrzyki, choć ja dmuchałem im ze wszystkich sił prosto w uszy – czyż warto było słuchać?

Tak weszli do lepianki, a ja pomknąłem nad bagnami i polami, nad nagimi krzakami i obnażonymi lasami, na otwarte morze, do innych krajów. U-u-uuu! Leć dalej! Leć dalej! I tak z roku na rok.

Co же stało się z Waldemarem Do, co stało się z jego córkami? Wiatr opowiada:

– Ostatnią widziałem Annę Dorteę, bladego hiacynta – była już zgarbioną staruchą, minęło przecież całe pięćdziesiąt lat. Przeżyła wszystkich i wszystko wiedziała.

Na wrzosowisku niedaleko miasta Viborg stał nowy, piękny dom proboszcza – czerwone mury, ząbkowany szczyt. Z komina walił gęsty dym. Łagodna żona proboszcza i piękne córki siedziały przy oknie i patrzyły ponad krzakami ogrodowego tarninu na brunatne wrzosowisko. Cóż tam widziały? Widziały bocianie gniazdo, przylepione do dachu półrozpadłej chaty. Cały dach porósł mchem i dzikim czosnkiem, a chatę pokrywała właściwie nie ona, lecz bocianie

gniazdo. I tylko ono jedno było naprawiane – utrzymywał je w porządku sam bocian.

Na tę chatę można było jedynie patrzeć, ale żadną miarą jej dotykać! Nawet mnie trzeba było tu dmuchać ostrożnie! – opowiadał wiatr. – Tylko ze względu na bocianie gniazdo zostawiano na wrzosowisku taką ruinę; inaczej dawno by ją zrównano z ziemią. Rodzina proboszcza nie chciała przepędzać bociana, i oto chata stała, a mieszkała w niej biedna staruszka. Swoim schronieniem była winna egipskiemu ptakowi, a może odwrotnie – bocian był jej winien tym, że kiedyś wstawiła się za gniazdem jego czarnego brata, żyjącego w lesie Borrebü. W owych czasach żebrząca staruszka była delikatnym dzieckiem, bladym hiacyntem szlachetnego kwietnika. Anna Dorteia pamiętała wszystko.

„O-ooh! – Tak, i ludzie wzdychają, jak wiatr w trzcinach i sitowiu. – O-ooh! Nie dzwoniło dzwonami nad twoim grobem, Waldemarze Do! Nie śpiewali biedni szkolnicy, gdy bezdomnego właściciela Borrebü składano do ziemi!... Tak, wszystkiemu, wszystkiemu nadchodzi koniec, nawet nieszczęściu!... Siostra Ida wyszła za chłopca. To właśnie zadało ojcu najcięższy cios... Mąż jego córki – nędzny niewolnik, którego pan może wsadzić na koźlicę. Teraz i on pewnie leży w ziemi, i siostra Ida. Tak, tak! Tylko mnie, biednej, los końca nie posyła!”

Tak mówiła Anna Dorteia w nędznej chacie, która stała jedynie dzięki bocianowi.

Cóż, o tej najbardziej zdrowej i odważnej spośród sióstr zatroszczyłem się sam! – kontynuował wiatr. – Ubrała się w suknię, która bardziej jej odpowiadała: przebrała się za chłopca i zaciągnęła jako marynarz na statek. Była skąpa w słowach, surowa z wyglądu, ale od pracy nie uchylała się, tylko wspinaczkę miała słabą. No, to ja zdmuchnąłem ją do wody, zanim rozpoznano, że jest kobietą – i dobrze zrobiłem!

Był pierwszy dzień Wielkanocy, tak jak wtedy, gdy Waldemarowi Do wydawało się, że otrzymał złoto, i usłyszałem pod dachem z bocianim gniazdem śpiew, ostatnią pieśń Anny Dortei.

W chacie nie było nawet okna, a jedynie okrągły otwór w ścianie. Jak złoty samorodek, weszło słońce i wypełniło sobą chatę. Jakiż to był blask! Oczy Anny Dortei nie wytrzymały, nie wytrzymało i serce. Zresztą słońce nie miało tu nic do rzeczy; gdyby tego ranka jej nie oświeciło, stałoby się to samo.

Z łaski bociana Anna Dorteia miała dach nad głową aż do ostatniego dnia swego życia. Śpiewałem i nad jej grobem, i nad grobem jej ojca; wiem, gdzie jest ten i drugi, a oprócz mnie nie wie nikt.

Nadeszły teraz nowe czasy, inne czasy! Stara droga bitej kończy się teraz przy ogrodzonym polu, nowa biegnie po grobach, a wkrótce przemknie tutaj parowóz,

ciągnąc za sobą rząd wagonów i grzmocąc nad grobami, równie zapomnianymi jak imiona. U-u-uuu! Leć dalej!

Oto i cała historia o Waldemarze Do i jego córkach. Opowiedz ją lepiej, kto potrafi!
- zakończył wiatr i skierował się w inną stronę.

I ślad jego przepadł.